

611 u

A

Nr. 21
Cena 25gr.

M
L
O
D
Z
IDA

KWIECIEŃ
1936

147

W związku z zbliżającą się rocznicą śmierci
Marszałka J. Piłsudskiego

ogłaszamy.

KONKURS PRAC

O MARSZAŁKU

wiersz

nowela

impresja

artykuł

wspomnienia i t. d.

związane z osobą MARSZAŁKA i umieszczo-
ne w następnym numerze zostaną nagrodzone
książkami i kompletami naszego wydawnictwa.

Termin nadsyłania prac upływa z dniem
20 kwietnia.

Okladkę projektował i linoryt wykonał W. LEWANDOWSKI
Wszystkie klisze projektowała i wykonała G. GOLDÓWNA —
słuchacze Kursów Przemysłu Artystycznego w Sosnowcu.

Młodzi Idą...

Nr.
21.

Miesięcznik Młodzieży Szkół
Średnich Zagł. Dąbrowskiego

Cena 25 gr.

Sosnowiec, kwiecień 1936 r.



2 - IV - 34
2 - IV - 36

Adam
Skwarczyński

Z GRZEGORZEM TIMOFIEJEWEM

o poezji „z tamtej strony“.

Cicha jest uliczka zakurzonego miasta Łodzi; rzadko kiedy zabłądzi auto w tę czarną uliczkę. Na krętych drewnianych schodach przyświeca mała lampka.

Puka się do Grzegorza Timofiejewa. U drzwi wahanie. I oto wchodzi się do mieszkania: — „święty bezład“. Mimo to, atmosfera spokoju, dobrego smaku, wygody. Ale gospodarz nie jest spokojny.

Przyjmuje nas mężczyzna wysoki, szczupły, o mocnej, wyrazistej, niepoetyckiej twarzy; kontrast mieszkania i dzielnicy akcentuje się.

Grzegorz Timofiejew nie jest poetą „proletarjackim“. Jest zasadniczym przedziałem wód. Nie ma w sobie nic z kompromisu. Brzmi to paradoksalnie: lecz jest to człowiek w istocie nieśmiały. A mimo to on głównie okazał, że poezja nie polega na żonglowaniu dźwięcznymi słowami, że poezja — to jest sztuka słów. **POSTAWIŁ POETĘ PRZED RZECZAMI**. Potrafił wyzwolić się z niebezpiecznej magji formizmu, odrzucił supremację formy nad treścią, zabierając jednak z pola walki, jako zwycięzca to, co u pokonanych było najleprze i najżywotniejsze. Lecz ten intelektualista również wyraźnie eksperymentuje, idzie drogami trudnej instrumentacji, kontuuje. Konsekwentnie kontuuje prace i zdobycze tych, co przed nim odkrywali, tak, jak on — intuicyjnie.

— Młoda chronologicznie poezja polska przeszła już cały szereg faz i okresów rozwoju poszukiwań formalnych. Wszystkie te stadja przesunęły się w krótkim czasie, pozostawiając mniej lub więcej trwałe ślady. Dopiero dziś jednak poezja zaczyna przybierać właściwą postać i zaczyna odpowiadać nowej rzeczywistości, wyrastając z ducha i potrzeb nowego środowiska.

— Poezja współczesna znieruchomiła. Przytłoczyła ją forma i co zatem idzie — czytelnik nie może nawiązać kontraktu duchowego z twórcą. W czym więc wyraża się owo **KULTURALNE NIEPOROZUMIENIE** między twórcą i konsumentem?

— Poezja przede wszystkim musi zerwać z fałszywym patosem i — śmieszny już dzisiaj wyraz — koturnowością. Wystarczy nawiązać intymny kontakt duchowy ze środowiskiem, z epoką i czerpać z nich całą garścią; a wtedy poezja będzie wielką.

— Do wielkości pretenduje przecież oficjalnie poezja „proletarjacka“ — twierdząc, że w niej właśnie zawarte są najżywotniejsze pierwiastki twórcze. Lecz traktując rzecz historycznie, upłynął już dość długi okres jej istnienia, a natomiast rezultaty...

— Tak. Całkiem słusznie nie należy się dopatrywać początków poezji proletarjackiej, na przykład u Broniewskiego czy Wandurskiego. Korzenie jej sięgają daleko w historię naszej literatury. Pierwszym poetą proletarjackim, o ile nie był nim Słowacki w swym wierszu: „Wyjdzie stu robotników...“

to napewno Norwid w wierszu: „Na śmierć Gajewskiego“. Lecz z drugiej strony — pozytywizm, znów zdawałoby się ideowo podobny literaturze proletariatu — jest krańcowo od niej różny. Propaguje on niby „dostojeństwo rąk uczernionych przy warsztacie“; patetycznie i kłamliwie opiewa wielkość i radość pracy, rodząc jednocześnie wielkich bogaczy z jednej strony, a nędzarzy z drugiej.

— Z jakich więc przyczyn konkretnych zrodziła się idea sztuki proletarjackiej, bez których zgłaszałyby przypuszczalnie wraz z okresem pozytywizmu. Choć z drugiej strony jasnym jest, że w tym czasie poezja patriotycznej szlachty była mistyfikacją, jeszcze w większym stopniu niż poezja rewolucyjnej burżuazji. Musiała ona łączyć ogień z wodą: sprawę ludu ze sprawą „narodu“.

— Literaturę proletarjacką stworzyło właściwie powstanie listopadowe. Nowa literatura przeświadczona o upadku narodowym warstwy szlacheckiej, zwraca oczy na lud, jako spadkobiercę idei wolnościowej. Oczywiście niepodobna było, mówiąc o ludzie, pomijając jego istotnych cech i dążeń. Atoli wszystko to — jak panowie zauważyli — było widziane przez pryzmat sentymentu szlacheckiego. I dopiero ruchy „od dołu“ stworzyły prawdziwą twórczość proletarjacką w roku 1861, w czasie buntów robotników łódzkich. Z oddechu walk rewolucyjnych 1905 r. wyłania się autentyczna poezja polskiego proletariatu. Najlepsze nawet strofy tych czasów posiadają znaczenie emocjonalne, brzmiać, jak zawołanie bojowe.

— Czy napisanie wiersza, poruszającego zagadnienie krzywdy społecznej już kwalifikuje poetę do przypięcia sobie etykiety „proletarckiej“. Czy też decyduje tu przede wszystkim pochodzenie, czy w końcu wartość i szczerść napięcia uczuciowego?

— Etykieta twórców proletarckich jest niebezpieczna. Przeważnie nie rozumie się jej (często nie rozumie jej sam autor) i boi. — Wielu też autorów skrajnie reakcyjnych uważa się za poetów „Z TAMTEJ STRONY BARYKADY“. Gdy tymczasem każdy poeta jest związany swoją twórczością z warstwą społeczną, z której pochodzi. Natomiast jeżeli do głosu dochodzi wewnętrzne „JA“, staje się on wyrazicielem całej ludzkości.

Mieszkanie Grzegorza Timofiejewa opuszczamy. Schodzimy po ciasnych krytych schodach w milczeniu. Po chwili słyszę cichy szept mego kolegi. Deklamował:

Modląc się o słowo zostałem poeta
lecz o życie błagałem silniejsze od śmierci.
Wtedy zamglone oczy dzień mi słońcem przetarł
i kraj za horyzontem ludzkiej widzę piersi.

W. L E M P E R T.
W. MAJCHROWSKI.

IZOLACJA HONOROWA

Zupełnie obiektywne rzecz biorąc, można stwierdzić, że stoimy w obliczu upadku i rozkładu życia społecznego młodzieży. Tli się ono jeszcze tu i ówdzie, bladym płomykiem, daje znak istnienia, lecz coraz wyraźniej staje się podobnym do trupa, któremu nie chcą dać spokoju, — trupa, któremu każą żyć, — trupa uparcie, niezmordowanie galwanizowanego.

Nasze organizacje szkolne, nasze samorządy i kółka wiodą suchotniczy żywot, podtrzymywane bohaterską pracą jednostek. Przyczem jedne trudnią się zbieraniem składek, tudzież urządzaniem bałów reprezentacyjnych i niereprezentacyjnych, a inne historyczne, literackie, krajoznawcze, zbierają się, by dokonać wyboru władz, albo (co jest niewątpliwie radosnym objawem) dla wysłuchania referatu o Zakonie Krzyżackim, o twórczości literackiej imię pana Orzechowskiego, czy o pięknej przyrodzie słonecznej wyspy Kuby. — Tematy, jak widać, bardzo ciekawe, bardzo „interesujące zainteresowanych”, ale literalnie nic a nic nie związane z naszym życiem i naszą polską rzeczywistością.

Od czasu do czasu, „przy jakimś wielkim święcie”, zostają poruszone także i tematy społeczne. Mówi się wtedy z obowiązkowo, czasem nawet w dość „ostrych” słowach (a jakże!), o niesprawiedliwości społecznej, o nędzy, o ciemnocie, o niedoli robotnika i jego budującej cierpliwości. — Znudzeni słuchacze bębnią palcami w pulpit, kiwają głowami na znak zgody, czy znudzenia? — trudno powiedzieć... — no i oczekują końca wywodu prelegenta.

Życie młodzieży poza szkołą nie przedstawia się wiele ciekawiej. Spacer, lekcje z aktualnym pytaniem: „Będę, czy nie będę odpowiadał, randka, kino i „odrobina” sportu — oto czynności, które wypełniają bez reszty nasze dni.

Czasem ten i ów zmagają się z trudnościami natury materialnej, dają korepetycje, pracuje dorywco, — walczy bohatersko o swoje prawo do znośnego życia i o prawo do nauki. — I ta walka, ciche zmagania się z przeciwnościami nielicznymi, a może i licznych naszych koleżanek i kolegów — to bodaj jeden jedyny jasny, złoty promień na szarem tle naszej rzeczywistości szkolnej.

Poza nią niema nic. Pustka, bez—ideowość, „marazm” — kompletny upadek zainteresowań.

* * *

Mam przyjaciela, robotnika. Zapytałem go: co myśli o młodzieży szkolnej i akademikach. Odpowiedział mi, że: „za tych paniczków nie dałby złamanego grosza”. Ja się nie będę kłócił, czy mój przyjaciel ma rację czy nie, czy młodzież nasza, a raczej my sami, — jesteśmy wariaci grosz, czy nie. Chcę Wam tylko powiedzieć, że wśród robotników nie mamy ani sympatii, ani szacunku. I sądzę, że wśród chłopów podobnie.

Bo i zaco?

* * *

Stanowimy społeczność zamkniętą, odgradzoną od reszty społeczeństwa murami nieufności, przy-

zwyczajów, przesądów, czy wprost zakazów. — Tworzymy coś w rodzaju ogromnego koła wzajemnej adoracji. — Tworzymy kastę!

Wewnątrz swojej społeczności, wewnątrz swojej kasty, żyjemy tylko własnym życiem, niemal zupełnie niezwiązani ze społeczeństwem. Los reszty społeczeństwa, los chłopca, czy robotnika znamy tylko powierzchownie, — z gazet. Wiemy coś tam o „nędzy proletariatu”; wyobrażamy sobie, że „mało smaczny” jest obiad bezrobotnego, że „ciekawa i niebezpieczna” jest praca w bieda-szybach, że „smutny” jest żywot młodzieńca, szukającego od czterech, a może i sześciu lat, bezskutecznie pracy. Pozatem wiemy, że to są „komuniści” (albo przynajmniej komunistujący), że się od czasu do czasu „buntują”, „podburzeni przez Żydów albo masonów” (jakżeby inaczej?), tak że aż do nich trzeba strzelać; no i ogólnie... „element niepewny”, „dla Państwa niebezpieczny”,

„Trzeba chamstwo krótko trzymać!” — powie wypasiony synalek zamożnego tatusia.

„A zresztą, co nas to wszystko może obchodzić?”.

— Tak, Moi Drodzy, nie udzielamy się, trzymamy się zdaleka od „chamstwa”, no bo... i jakże — robociarz, albo jakiś tam „ander” z ulicy miałyby być naszym kolegą? Przecież z „takim” wstydziłbym się przejść przez ulicę! Zresztą jakby na to w szkole patrzyli. Zapytaliby zaraz: „z jakimi podejrzanyimi typami ty spacerujesz?” I powiedzieliby, że nic a nic nie szanujesz swojego „honoru”.

— „Honor”. czy „honor uczniowski” — to wielka rzecz. Dystans trzeba zachować. A z dystansem trzeba zachować przepaść, tragiczną przepaść między „kastą uczniów”, a młodzieżą robotniczą”.

Nie stykając się tedy ani z młodzieżą robotniczą, ani z młodzieżą wiejską, ani ze starszym pokoleniem robotniczym i chłopskim — nie znamy myśli przenikających te dwie klasy społeczne, nie znamy dążeń i pragnień ludu polskiego, nie posiadamy absolutnie wyczucia rzeczywistości polskiej, — nie możemy przejąć na swoją własność dążeń ogromnej większości narodu. Dążenia te, dążenia ludu polskiego w bardzo małym stopniu nas obchodzą.

Byliśmy i jesteśmy oderwani od rzeczywistości polskiej, — barjerami oddzieleni od ludu polskiego.

I to oderwanie się od gleby polskiej, od spraw ludu, to zamknięcie we własnym kole, jest czynnikiem decydującym, który zwięża horyzont naszych zainteresowań, sprawia, że nie potrafimy wydać z siebie żadnej myśli, żadnej idei, dokoła której skupiłby się nasze wysiłki, tym czynnikiem, który powoduje suchotniczy żywot naszych organizacji, niweczy wszelkie porywy młodzieńczego idealizmu, — na nici sny nasze, złote sny o potędze i dobrobycie narodu — rozsnuwa.

A to nie jest dobrze. I te sprawy wcale nie są błahe. Bo przecież na nas, na młodzież polską, spadnie w przyszłości ciężar kierowania losami państwa. Do zadania tego musimy być uczciwie

i wszechstronnie przygotowani. Musimy znać już nie z gazet i książek, los robotnika i los chłopca polskiego, musimy wiedzieć, jakie myśli i jakie pragnienia nurtują w tych ogromnych masach ludzkich, musimy znać wszystkie bóle i wszystkie krzywdy, musi w mózgach naszych powstać prawdziwy, dokładny, niesfalszowany obraz „rzeczywistej rzeczywistości“ Polski.

I dlatego koniecznym jest pójść do robotnika i do chłopca.

Ale nie tak, broń Boże, jak zwiedzający do menażerii.

Należy pójść z radośnie wyciągniętą, braterską dłonią.

Należy zawiązać kontakt z młodzieżą robotniczą.

Należy zająć się natychmiast sprawami, bolącymi, pragnieniami młodzieży robotniczej i chłopskiej.

— A mogę ręczyć, i to nawet słowem honoru — o ile tego ode mnie zażąda kol. Z. Majchrzycki, — że za jednym zamachem ożyje nasze życie społeczne. Przestaniemy być „paniczykami“. Dokoła nowych i wciąż nowych problemów będą się rozpalają raz za razem dyskusje. Będziemy się wyrażać. Będziemy się uczyć. Będziemy poznawać życie wszystkich społecznych klas. Będziemy się rzetelnie przygotowywać do podjęcia ciężaru kierowania losami państwa.

Rozszerzyć krąg naszych zainteresowań! Nawiązać kontakt i współpracę z młodzieżą robotniczą! Zespolic się i zrosnąć z glebą polską, z ludem polskim! — Oto zasadnicze problemy dnia dzisiejszego.

— Problemy tak ważne, jak hamletowskie: „Być, albo nie być?“.

F. WIECZOREK.

ZB BUDZYŃSKI.

OCZYWIŚCIE O WIOŚNIE.

Podobno był wtedy śnieg. Padaly duże, białe płatki śniegu. Nie widziałem tego, ale nieraz wyobrażam sobie taki dzień, w którym białe płatki śniegu skądś lecą na ziemię. Na każdym małym płatku siedzi jakaś mała istotka. — Skąd się wzięła? — nie wiem — spłynęła z płatkiem śniegu na ziemię. Ziemia okrywa się strzępkami śniegu, istotki lekko zeskakują na ziemię i wędrują po świecie.

— Bajeczka dla grzecznych dzieci.

Płatki mają różne kształty. Gwiazdeczki, — gwiazdy, podobno mają kształt serduszek... Nie wiem, nie widziałem. Raz pamiętam trzymałem otwartą dłoń, na którą padał śnieg. Płatki nie były ładne. Naraz spadła mała, biała gwiazdeczka. Spojrzałem na nią, ale zobaczyłem już tylko małą łezkę na dłoni.

Szkoda...

Zdziwi się pewnie czytelnik poco mu opowiadam bajeczki o śniegu i małych istotkach, kiedy już jest wiosna.

Prawda, ale przed wiosną zwykle jest zima.

Zima... wiosna...

Miałem kiedyś sen. Hm! wogóle do snów to ja wielkiego szczęścia nie mam.

Wyjątkowo jednak ten sen, który chcę opowiedzieć był miły i pamiętam go.

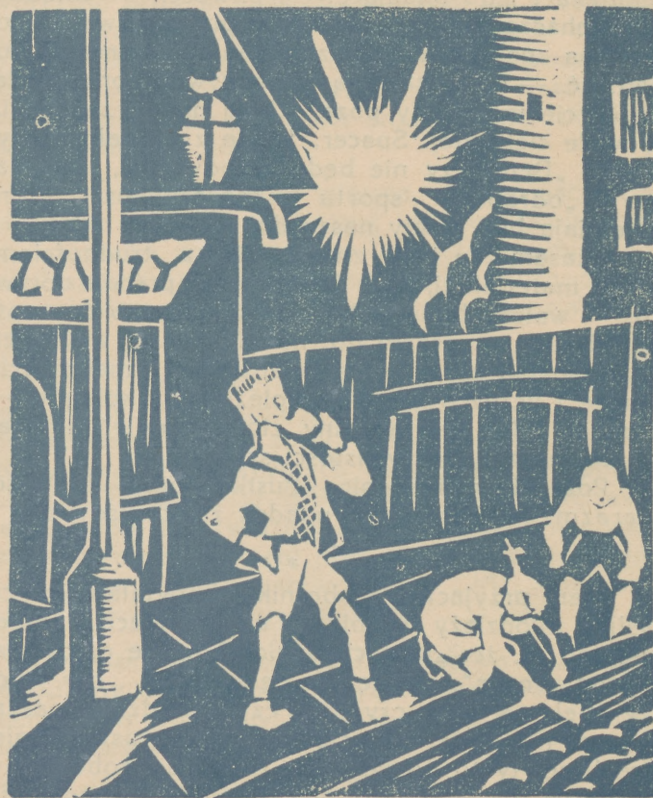
A więc śniło mi się, że widziałem narodziny wiosny.

Była zima. Tak, była zima, bo przed wiosną jest zwykle zima. Padał śnieg. Naraz śnieg przestał padać. Niebo rozchmurzyło się i... Nagle zobaczyłem jeden duży płat śniegu. Białego, czystego śniegu, który spływał powolutku jak czarodziejski dywan na ziemię. Spóźniony widocznie płat śniegu.

Spływał powoli, powolutku, na koniec lekko zakotłosał się i osiadł na ziemi. Mała, biała płaszczyna.

Na tej płaszczynie siedziała mała, różowa dziewczynka o jasnych włosach i niebieskich ocz-

kach, ach! miała jeszcze na sobie futerko. Zdaje się, że szare. Proszę sobie wyobrazić płat śniegu i małą dziewczynkę o jasnych włosach, niebieskich oczkach, różową i zdaje się w szarem futerku, która płakała. Dlaczego mała dziewczynka płakała?...



rys. J. Refler.

...„szczeniaki“ z trzeciej ulicy na prawo od Krzywej witały wiosnę...

Chciała widocznie zejść na ziemię, a bała się zeskoczyć, bo płatek śniegu był duży. Płakała,

a śnieg powoli topniał, topniał. Na koniec dziewczynka stała tylko na małej okruszynce śniegu. Już nie płakała. Stała i patrzyła wkoło swymi niebieskimi oczkami, aż okruszynka śniegu się roztopiła i dziewczynka otrząsnawszy łezki z szarego futerka, uśmiechnęła się i poszła odważnie w świat. Tak! Mała dziewczynka odważnie poszła w świat.

Narodziła się wiosna...

Trzecia ulica na prawo od Krzywej witała wiosnę. Mówię „trzecia“, bo właściwie to nie wiem, jak się ta trzecia ulica na prawo od Krzywej nazywa.

„Szczeniaki“ z pod siódmego stały przy rynsztoku i puszczały papierowe okręty. Brudna woda niosła je aż do Krzywej. Tam trzeba było je wylać albo patykami, albo palcami — jak komu było wygodniej, otrzepywać z wody, nieść z powrotem i puszczać. Zabawa wcale przyjemna. Gdy miałem tyle lat, że już chciałem być dorożkarzem, odczuwałem żal do matki, że nie chce zrozumieć moich zamiłowań nawigacyjnych i uroku brudnej wody rynsztoka, po której pływały żółte skórki — od wyciśniętej cytryny i munsztuki od papierosów. Wszystko to kapało się pozatem w promieniach marcowego, wiosennego słońca.

Jasiek od stróża i Wikcia, tej co to miała magiel na Prostej „do spółki“ z panią sierżantową, mieli zawsze najlepsze okręty. Wikcia przynosiła pergamin, z którego Jasiek robił morowe „szify“. Reszta dzieci, a było ich chyba siedmioro, mieszkających na tej trzeciej ulicy na prawo od Krzywej, choć nieraz przychodzili też chłopaki z Krzywej, ale wtedy ci z tej trzeciej ulicy na prawo od Krzywej, krzywem okiem patrzyli na swych sąsiadów, mącących im wodę w rynsztoku — miała okręty zbudowane z kartek różnych zeszytów. Okręty, które na swej burcie sławiły czyjeś zdolności, do matematyki lub polskiego.

Słońce. Wiosenne słońce osłoneczniło, niebardzo słoneczne, ulice miasta. Wilgotne plamy na trotuarach poczęły wysychać.

Zalega wdychał marcowe powietrze w swe lekko schorzałe płuca.

... Marzec... wiosna...

— Może coś z wiosną... może przy Przemszy, może Brynicę będą regulować?

— Trzeba się dowiedzieć, kto to wie? —

Zalega to jeden z tych „ileś tam milionów“ bezrobotnych. Zawód? — Hm! Właściwie to miał ich nawet może za dużo. Same zawody... zawody... ciągle tylko wszędzie zawody... Eh!...

Poszedł za miasto nad Przemszę. Jakiś chyba beznamiętny pies biegł chwilę obok niego. Zalega spojrzął przelotnie w jego kaprawe lewe oko. Zaciekawiał go ten pies, ta wiosna i wogóle...

— Czy prawe oko tego, zdaje się, beznamiętnego psa, jest też kaprawe? Zalega zaciekawiony starał się przejść na prawą stronę psa, aby zobaczyć jego prawe oko. Pies spojrzął nieufnie, chyba nawet nie warknął, poprostu machnął ogonem zważając i poleciał do pobliskiej jatki. Zdaje się, że był ranek. Tak! Napewno był ranek, bo jeszcze zdaje mi się, że słyszę dzwonek wózka, który przejechał z pełnotłustym mlekiem ze spółdzielni. Zalega z wiosną w sercu szedł za miasto. Po chwili przybył tam, gdzie zeszłego roku plótł z wiklin umocnienia brzegów rzeki. Nad rzeką nie było jeszcze

żadnych robót. Zalega rozejrzał się po osłonecznym brudzie fal, po blado-zielonej trawce, przeplatanej tu i owdzie strzępami starych gazet i munsztukami od papierosów. Niedaleko spostrzegł trzech ludzi. Podeszedł do nich.

— Panowie nie wiedzą, czy będą jakieś roboty przy Przemszy? —

— Roboty? — niby z wiosną? Et! nie dla nas! Tutaj junaki przyjdą, a nie my.

— Przepraszam, dowidzenia!

Zalega odszedł brzegiem rzeki wpatrzony w jej brudne fale. Junacy?

— Junacy?! — a on?!

— A bo to, wie panusia, tyle też kłopotu. Dyc wiosna. Wiadomo porządku.

— A i ta z drugiego piętra wczoraj już okna myła, a jakże!



rys. J. Refler.

...Ady rady nie można se dać z tem kociskiem. Cieką ci to i cieką...

— Ciekawam, czy też co będzie z tą wojną z Abisynami, czy jak?

— Ano wiosna, kto ich ta wie... wiadomo ziemia wysycha, łatwiej przejechać. Na ten przykład i u nas już na podwórku trochę przeszło. Wiadomo wiosna.

— Jeju! jeju! A dyc rady nie można se dać z tem kociskiem. Cieką ci to i cieką... Ano, wiosna moja pani, wiosna...

Takie sobie wiosenne monologi, jakie się codziennie słyszy na każdym chyba prostokacie podwórka.

Marzec, kwiecień, maj. Wiosna.

Natchnienie dla poetów. Raj dla zakochanych. Przykry okres dla gruźlików. Nadzieja dla wszystkich — głupich.

Kiedy mała dziewczynka otrząsnawszy łezki z szarego zdaje się futerka uśmiechnęła się i poszła w świat — narodziła się wiosna.

Akcja kartoflana.

Napewno nie wiecie, co to jest akcja kartoflana. Pragnąc więc, abyście nie robili wielkich oczu, jeśli wam ktoś o niej będzie mówił (bo teraz o niej dosyć głośno), powiem na ten temat kilka słów.

Za Dębową Górą na terenach T. S. stoją rozrzucone ziemianki reemigrantów z Francji. Chcąc je obejrzeć z bliska, przeszliśmy piaszczysty teren, dzielący szosę od pierwszego domku. — Rzeczywiście domku, bo domem nie możemy tego nazwać. — Ludzie, niby krety, wryli się do ziemi i zbudowali swe siedziby, wpychając je między pagórki.

Ziemianki są przeciętnie 5 m. długie, 4 m. szerokie; szkielec z drzewa jest obmurowany cegłą, lub poprzetykany darnią. Dach pokrywają kawałki starej papy, pewnie gdzieś znalezionej, a komin zastępuje stare wiadro. U jednych okna są zaskłone, u innych — zakryte deskami.

Po drodze spotykamy mężczyznę, niosącego ławę i stare krzesło. Jest blady, ubrany „w coś“.

Na zapytanie nasze odpowiada uprzejmie. Okazuje się, że mieszka w jednej z pierwszych lepianek. Ogółem jest tutaj wiele rodzin. Część mieszka dawno (od 2-ch lat), część przybyła w tym roku. On przybył do Polski w 1928 roku. Początkowo miał pracę, ale po redukcji został się „na bruku“. Ponieważ zna się cokolwiek na budownictwie, zaczął „się stawiać“. Przybył tu pierwszy, a za nim „cała biedota“. Podchodzimy do jego domku. Zaprasza nas do środka ze słowami: „Niech panie zobaczą, jak biedni ludzie żyją“. Wchodzimy. Izba schludna, ale bardzo mała. Podłogi niema. Pod ścianą stoją 2 łóżka, dalej stół i kufer pod oknem, wreszcie piec. Czworko dzieci kręci się tam i spowrotem i ciekawie na nas spogląda. Żona siedzi przy stole blada i mocno zniszczona. Czujemy się trochę nieswojo.

— Przypominało mi się, jak lekarz nam mówił, że teraz usuwa się suteryny, bo w nich szerzą się najczęściej choroby... I ujrzałam suterynę naszego stróża, która jest pałacem w stosunku do tej ziemianki! Co za straszna ironja losu!

— Rozmówca opowiada nam, jak mu było dobrze w Francji, a potem w Belgji. — „Inaczej było, człowiek miał po 6 pokojów“! — „Dlaczego więc pan przyjechał, przecież wtedy jeszcze nie wyprzedzali“?

— „A, proszę pani, zawsze ta człowiekowi było tęskno. A mówili mi, żebym nie jechał“... Tylko jedno dziecko posyła do szkoły. Z dumą mówi, że dziewczynka się bardzo dobrze uczy i, że pan ją bardzo lubi. — A z czego wy żyjecie? „Trochę, proszę pani, z łaski ludzkiej, trochę z tego, co da magistrat. Ale co mi tam! 3 tygodnie robiłem i dał mi 2 złote“! Mówi to ze straszną gorczyzą i patrzy się na żonę, która od czasu do czasu powie

jakieś słowo. — Przez małeńkie okno wpada kilka promieni, jakby nam chciało wyraźniej pokazać biedę tego mieszkania...

Idziemy do następnego domku, prowadzeni przez uprzejmego „gospodarza“.

Tutaj tak samo czysto, tylko słońce próżno stara się wedrzeć przez okna, zabite deskami. Zato drzwi stoją otworem, bo inaczej możnaby się udusić w „tej dziurze“, jak ją nazywa kobieta, siedząca przed lepianką. Znowu wchodzimy do wnętrza. Urządzenie podobne jak w pierwszym domku — nastawienie inne. Ci ludzie powrócili z Francji przed miesiącem. Ubolewają mocno nad tem, że musieli uchodzić, ale nie zaprzeczają, że często tęsknili za Ojczyzną. Dzieci do szkoły nie chodzą, bo nie mają w czem. Ojciec rodziny pokazuje nam książki, które dzieci dostały we Francji „za darmo i na zawsze“, a w Polsce to jak dadzą na początku, to na końcu roku odbiorą. Używa dużo wyrazów francuskich; widocznie się jeszcze nie odzwyczaił. Za największą bolączkę Polski uważa to, że urzędnicy nie umieją uszanować człowieka. „Odsyłają mnie od jednego do drugiego, ten drugi do trzeciego i chodzę jak głupi. Wkońcu nic nie załatwiam i wracam do domu. Raz stałem cały dzień, to mi dali bochenek chleba! Cóż to jest? To tak, jakby go w morze rzucić! My z kobietą toby tam wytrzymali głód, ale dzieci... Czasem to myślę, że trza sprzedać ubranie, najeść się i iść się utopić. — Ale przecie żal tego podłego życia!“

Stuchamy i poprostu nie chce się wierzyć.

Zajrzeliśmy w oczy prawdziwej biedzie i ogarnął nas lęk, że taka bieda jest na świecie. Jak ci ludzie mogą wytrzymać? W każdej lepiance to samo, w każdej głód i narzekanie.

— Było to w październiku.

I właśnie po powrocie od tych ludzi, postanowiliśmy im za wszelką cenę pomóc. Zebraliśmy odzież, żywność, co która mogła dała i posłałyśmy im. Zdołałyśmy zapatrzeć zaledwie 11 rodzin, a jest ich więcej!

I oto powstał w jednej z uczniowskich główek szczęśliwy pomysł, aby codziennie przynosiła każda po jednym ziemniaku. Zdawało się, że nic z tego nie będzie. Zaczęły się śmiechy, kpinki: „Z jednym kartoflem przeciw takiej biedzie“!

A jednak. — Dotychczas zebraliśmy przeszło 600 kg. ziemniaków. Czy to nie imponujące? Czy nie warte naśladowania?

W naszej akcji znalazłyśmy potwierdzenie staropolskiego, bardzo mądrego przysłowia: „Ziarnko do ziarnka, zbierze się miarka“,

R. MICHALAKÓWNA
gim. im. H. Rzadkiewiczowej.

**Każdy uczeń winien
brać czynny udział
w redagowaniu naszego pisma !**

Strzępy meldunków.

SŁAWOJ SKŁADKOWSKI.

Wyd. Inst. Badania Najnowszej Hist. Polski 1936 r. str. 562

Już trzy miesiące temu pojawiła się na rynku księgarskim książka, którą warto przeczytać nie tylko ze względu na jej bohatera — Pierwszego Marszałka Polski, lub autora Jego bliskiego pracownika, ministra, znakomitego administratora i organizatora, ale ze względu na jej treść, walory literackie i fakty nawet historyczne.

„Gen. Sławoj-Składkowski książką swoją wprowadza nas, czytelników, do najwspanialszej pracowni, w której tworzył nasze dzieje jeden z najmocniejszych, najświetlejszych ludzi polskiej historii” [Gazeta Polska — J. K. Bandrowski]. Krótko i prosto, ale jakże przejrzysto, przedstawia nam autor postać Wodza podczas, raportów, meldunków, audjencji, odpraw i t. p. A przez szkice te, dokładnie możemy poznać Komendanta, niżby to uczyniła niejedna biografja.

Na początku wspominałem o historycznej stronie książki. Bo rzeczywiście miłośnicy i znawcy tej nauki, znajdują tu różne ważne daty, terminy, kroniki ważnych wydarzeń, postanowień i rozstrzygnięć. Nas zainteresuje niewątpliwie przedewszystkiem forma i treść książki.

Otóż „Strzępy” są pisane w formie pamiętnika.

Każda kartka tego oryginalnego pamiętnika, to przyczynek do poznania ciągłej i ciężkiej pracy Józefa Piłsudskiego dla państwa. Pracował ciągle i zawsze. Z książki Składkowskiego dowiadujemy się, że praca ta przybierała cechy różne, lecz zawsze dążyła do dobra Rzplitej.

Niezlomną wolą swoją Marszałek potrafił wprowadzać w życie swoje wszelkie zamiary, czem nie każdy Naczelnik i Wódz Państwa może się poszczycić. Charakterystycznym jest u gen. Składkowskiego jego każdorazowe notowanie, w jakim ubiorze jest Marszałek w czasie audjencji i uzależnianie od tego nastroju, w jakim się będzie odbywać posiedzenie. Tak samo przypisuje autor wagę temu, czy zaczynał Komendant konferencje od oficjalnych tytułów, czy zwracał się na „wy” do zebranych, czy też czasami mówił: „moje dzieci”.

Marszałek podchodził do spraw państwa z niezwykłą prostotą, a zarazem powagą. W jednym ze swoich przemówień do otaczających Go najbliższych wykonawców Jego woli mówił: „Państwo to nasz wspólny dom, którego wielkość i wspaniałość zaszczepa się i mierzy uczciwością roboty i wynikającym z tej uczciwości wzajemnym szacunkiem jednych do drugich”. Na innej znów audjencji wyraził się, że: „Ta mała protekcja w Polsce — Polskę powoli niszczy. To najbardziej świńskie narzędzie zepsucia... Jest w tem masa brudu i paskudztwa”.

Te i tem podobne szczegóły zbliżają nam ogromnie osobę Wielkiego Wodza. Autor książki chciał właśnie, aby te „strzępy” różnych „meldunków” nie stały się tajemnicą kilku dygnitarzy, ale stały się przyczynkiem do charakterystyki Wielkiego Wodza i dotarły nawet „pod strzechy”.

„Strzępy meldunków” to książka, którą czytając, widzimy jak żywą postać Marszałka,

STEFAN ZALC
Gim. Staszica.

We mgle.

Godzina 6.30...

Gęsta, sina mgła wlokła się chwiejnym krokiem ponad światem...

Gdzieś z dali sączyło się przez nią ciekłe światło wschodu...

Szaro, obco i nieprzytulnie...

Gęsty woal spowił wszystko...

Kolorowa gama barw jesieni stała się szarą, brudną i zimną...

Cztery linje długich, wąskich szyn wyciągnęły się w nieskończoność.

Są matowe, oślizgłe i zimne.

O bardzo zimne!...

Po obu ich stronach ciągnie się sznur ciemnych słupów, połączonych cienkimi ramionami drutów.

Druty brzęczą przeciągle, jęklwie...

Chwila ciszy...

Mgła bezszelestnie wciska się w każdy zakamarek...

Wszędzie widnieją siwe pyłki...

Nagle oślizgłe żmije drgnęły. Gdzieś daleko, daleko błysnęły ponad niemi dwa światła...

Nieśmiałe, złęknione, mdłe...

Niedługo jednak stawia im mgła znojny opór...

Wkrótce rozległo się rozgłośnie dudnienie, szum, mgłę rozdarł na chwilę ostry potok światła, zamigotał w oślizgłych szynach, zawibrował w atomach mgły i zniknął zasłonięty ogromnym połyskliwym cielskiem lokomotywy...

Mignęły jeszcze oświetlone okna wagonów, berety, czapki, srebrne guzy, dał się słyszeć śmiech, urywek rozmowy... ..

— — — — —
Ten sam tor, ta sama mgła, tylko ciemność dziwnie przygniatająca zapanowała nad światem po przejeździe pociągu.

Jakaś skulona postać w marynarce z guzami, z teką pod pachą i rękami w porciętach, przesuwała się obok toru...

Cisza była, a tylko klapała głucho oderwana podeszwa dziurawego buta...

Klap... klap... klap...

A potem coraz ciszej, ciszej, a w końcu wszystko rozplynęło się w szarej mgle beznadziejnego jesiennego poranku...

I tylko... klap... klap... klap... rozlegało się coraz dalej, cichnąc zwolna i rozplywając się w mrokach oddalenia...

— — — — —
To twój kolega, czytelniku, z którym siedzisz może w jednej ławce.

Czy nigdy, drodzy moi, nie zauważyliście jedząc drugie śniadanie, jak niektórzy z kolegów waszych przypatrują się wam uporczywie i tak... jakoś... dziwnie...

Pomyślcie! A gdyby tak i oni zjedli z wami śniadanie.

A gdyby tak i oni mogli chodzić w całych butach.

Przecież oni też...

JERZY SKRZYWANEK
Gim. im W. Łuk.

Kolumna poetycka.

W. STACHERSKI.

ANDANTE.

Splotła się nasza radość z miastem i ulicą
W półmroki rozmarzone cichobłyskiem latarni.
Wieczór do twojej twarzy uśmiechami przylgnął
I moje proste słowa w uśmiechy układa.

Perspektywami ulic idziemy w gwar miasta,
Chcemy się z naszym szczęściem zagubić ^{gdzieś}
w tłumie

Niewymówioną prośbą patrzę w twoje usta —
Odpowiadasz milczeniem, które ja rozumiem.

Zasłuchani w swe słowa, zapatrzeni w oczy
Włóczy my naszą miłość po skwerach i brukach.
Noc kulistym księżycem nad nami się toczy —
My idziemy do jutra.

H. SOJKA.

W DYMIE LATA...

Rzuciłaś się na letnią miedzę
pełną słodkich zapachów i grań koników polnych
Burzysz się i dymisz; czara z kadzidłem
Płoną jak niebo twoje oczy smolne
Zarzuciło cię na polu niby cudowną sieć
zdyszane morze powietrza
Stwardniałaś i jędrna jesteś jak miedź
błyszcząca w słońcu, lecz wiatr cię rozcieńczy i rozetrze-
Dzień, jak karczma, duszny
całą cię ogarnął i szumi w tobie symfonią muszli
Leżysz, a w piersiach twoich ucicha muzyka,
gdzieś milkną koniki już do niej przywykłe
Cicho cię wiatr otula i po szatach głaszcze —
tak spokojnie leżysz — już cię prawie niema
Przetarł cię na mgły nikłe i zwiewne welony
i spalił się z tobą w miedzy nieprzytomnej.

H. SOJKA.

NAD WIECZOREM.

Ona jedna
duża żaba
nad wieczorem
czarodziejskim kamertonem
podda samotnem kumaniem
pełen muzyki ton
pochwyca go wszystkie chóry
nastrojone lirycznie
i łąki prześwietlone księżycem
hypnotyzują mnie i miasta zasłuchane całe
pieśnią przedziwną — tragicznym chorałem.

H. SOJKA.

Ł A K A

Lenie.

Chodzimy po łące
jakby nie po łące
dziwią się nam krowy — oddane zadumie
i konie — centaury pełne powagi i dumy
ja sitowie łowie
ona wodne lilje
jesteśmy z sobą w znowie
i słów mamy miljon.
Staw się nam odśmiecha
i błyskiem odstrzela —
toniemy w uśmiechach
i pachnących echach
jej ręce aromat i czar białych zataiły lilji
w oczach staw ukryła i do mnie się mili
pachnę łąką grząską i wełną sitowia
w oczach łąkiem uwięził i ją w strefie żrenic tuż
za murem powiek
pachniemy oboje urzeczeni sobą
w przymierzu serdecznem
kołysze nas ziemia i przyjemne niebo
w ramionach najtkliwszych niby dzieci mleczne.

JAN ZAWITY.

W NIEDZIELE.

Odejdiesz nocą nieprzespaną
nabrzmiała warg pieczęcią
szelestem słów pomiętą
— — zapomnisz może rano —

Może — Może w lamusie wspomnień
parne godziny te zarzucisz
lub strawisz je kaprysów ogniem —
A może — pocóż filozofja: wrócisz —

I włosy twe rozprzędę dłonią
I krople rosy słonej
z szpalerów rzęs osuszę
swym cieniem cię osłonię.

Myślę wciąż: — prawda: pociągi
nasze są na różnych torach
— i łudzić się chcę ciągle — —
— — to poetycka przecież tylko metafora.

Z CYKLU:

MŁODOŚĆ.

Z okazji rozpoczęcia IV roku pracy Redakcja otrzymała od długoletniego i wypróbowanego współpracownika, nowelę poniższą.

Mały, cierpiący na astmę, podgórski parowóz wtaczał się ciężarem osmalonego żelastwa na małą stacyjkę. Jeszcze kilka ciężkich sapnięć, jeszcze nieco turkotu kół o lśniące linje wygładzonych szyn potem stukot otwieranych ciężkich, żelaznych drzwi i jazgot zardzewiałych hamulców o regularne kręgi kół. Pociąg stanął. Wysiadła tylko ona. Ledwo zdążyła wynieść swoją fibrową, ciężką walizę, a już pociąg naglony gwizdkami konduktorów ruszył dalej. Hanka stała. Z początku wielka plama ostatnie go wagonu widniała wyraźnie, potem mniej i mniej, aż wreszcie znikła. Została sina i szara smuga dymu, rozciągnięta nad dwoma jasnymi krechami szyn. Hance wcale nie zdawało się, że są „wyprute ze szwów horyzontu“.

Kiedy plama pociągu była już tak mała, że jej wcale nie było widać. Hanka mruknęła: — „Tak“. Potem rozejrzała się wokół. Hen, dokoła góry. Wyższe, niższe ciągnęły się aż pod Babią, odsłaniając jej wysoki, łagodny z oddali szczyt. Znała to wszystko. Była córą gór. Wychowała się od dziecka w sąsiedniej podgórskiej Mieściecinie, przylepiona do dolinki trzech schodzących się gór, nie była wcale okazową siedzibą snobizmu, choć rzecz jasna kwiatem inteligencji miejscowej był burmistrz, pleban, pocztmistrz, szumnie zwany naczelnikiem poczty, naczelnik straży pożarnej w wolnych chwilach adorujący córkę naczelnika poczty i dziwnie pasujący do tego kwintetu lekarz, posiadający aż trzy lata studjów, co wcale nie przeszkadzało dodawać mu przy podpisie dr. Uważał, iż nazwisko Bochenek wiele zyskiwało na fonetyce przez wspomniane dr. Ale doktor Bochenek nie znał się na fonetyce. Nie znała się na niej i Hanka, bo warunki nie pozwoliły jej mimo głodu wiedzy nawet obejrzeć sanktuarjum wiedzy, zwanego przez ludzi poważnych i statecznych gimnazjum, zaś przez wszystkie rówieśnice — budą.

Rówieśnice —. Kiedy Hanka mruknęła — „Tak“ — myślała właśnie o nich. Tym samym zasapanym pociągiem jechały „na nauki“ do miasta Stefka i Ira, córki dra Bochenka, panny doktorówny Bochenkówny. Starsza nauczyła się już trwale hennować brwi i rzęsy, tudzież ondulować włosy, rzucać ogniste spojrzenia, tudzież dbać o linje, nie mówiąc o różu, karminie i pudrze. Że posiadała więc już wszelkie tajemnice symptomatów „kultury i cywilizacji“, łatwo zrozumieć, jeśli się doda, że po kątach, gdy jej się zdawało, że nikt nie widzi, namiętnie paliła tytoń. Młodsza doktorówna Bochenkówna nie posiadała jeszcze tak bogatej erudycji z tej dziedziny, nie mniej jednak tańcowała w ubiegłym sezonie zapamiętałe, a w przerwach namiętnie czytywała świadomie, świadome dodatki do „Wiadomości literackich“ nie zważając na gderania zafonanych ciotek, które spóźnieły się ze swem życiem

conajmniej o jeden wiek i, wogóle... na „niczem“ się nie znały.

Kiedy Hanka mruknęła: „Tak“ — myślała o odjeżdżających córkach dra Bochenka, a wzrok jej padł na małą rudereć raczej, niż stacyę, z której czoła jednak przebijał powietrze maszt radjowej anteny — objaw kultury. Wtedy Hanka mruknęła „Tak“. Potem dźwignęła ciężar walizy, minęła dwa sąsiednie kolejowe domki. Wydostała się na mokrą, upstrzoną powierzchniami szeroko rozlanych kałuż drogę, kręto rozciągniętą w stronę bielejących chat. Waliza obijała się o kostki, tłukąc je nie miłosiernie, to też Hanka przystawała cotochoć, by odpocząć lub przenieść walizkę z ręki do ręki. Nie



...praca przepłatana obowiązkiem rozdawaniem uśmiechów.

zdążyła jeszcze dojść do pierwszej chaty, kiedy ulewne strugi deszczu przerwały jej uciążliwą drogę. Zatrzymała się pod pierwszym przydrożnym drzewem, postawiła walizę i usiadła na niej. Myśli tłoczyły się nieuporządkowanymi szeregami, coraz dotkliwiej, przypominały jej o zupełnem osamotnieniu.

Ona — benjaminek całej rodziny — Hanećka o tęczowej duszy, otoczona łańcuchem kochających ją ludzi — nagle znalazła się w zupełnie nowej sytuacji. Pochamrany dzięki zbytnim dostatkom jednych, zły los, rzucił ją w otwarte szranki ciężkiej walki o byt, o jakie takie istnienie. Złego losu koleje kazały jej przyjąć powierzona posadę kierow-

niczki miejscowej kooperatywy spółdzielczej, na głuchej, odciętej od świata wyniosłymi grzbietami gór, podkarpackiej wiosce.

Zły los? — nie, Hanka myślała — dobry los. Kiedy przypomniała sobie liczną rodzinę — braci, siostry, — młodszych, starszych, kiedy przypomniała sobie zważone życiem oblicza starzejących się już rodziców oblicza zatroskane, smutne, to wydała jej się ta posiadka, tu za skromną, o jakże bardzo skromną, densyjką conajmniej darem wspaniałomyślnej łaski dobrego Boga. I była pewna, że tak było w istocie. I miała rację. Czasem kiedy już jest źle, kiedy ci się zdaje, żeś w sytuacji się znalazł bez wyjścia, ześła ci nieba pomoc. A przecież Hanka błagała o nią, a przecież Hanka ją otrzymała.

Puszczane luzem myśli Hanczyne, kłębiły się, spierały, szamotały i Hanka nie zauważyła nawet, że rozwite warkoczki chmur przeszły już dawno, nie zauważyła również, że niemal już od początku miała pod dachem drzewnych galezi sąsiada. Siedział o mała odległość koło niej i najbardziej w świecie obserwował krytycznie jej postać. Oczy — czysty szafir, nito fiuterne, nito cichem natchnieniem patrzące, zwisające kędziory ciemnych, nieczarnych firanek wkoło głowy oblepiały swą wilgocią buzię, z której policzków wykwiwały maki. Na delikatnej cerze wyraziście malował się pączek żywego karminu — usta. Ale Antkowe myśli nie czerpiły się ani pączka karminu, ani maków policzków, ani firanek kędziory, ani oczów, które jasność spojrzenia z krynicznych czerpały źródeł. Antek nie uznawał flirtu. Toż to przeżytek — dowodził zwykle — wyciągnięty z lamusa babki, pachnie krynolina, białą rekawiczką, całusem danym przez batystową chusteczkę i młodzieńcem, który nie wie, co ma robić z czasem. Kobiety, powiedzmy niewiasty, traktował zaś tak, jak na to zasługiwały, był zwykle zamknięty w sobie, myślał zupełnie swojemi kategoriami i nie lubił się wycłupiać, — a to wszystko znowu nie odpowiadało płci przepięknej. Zresztą Antek był poeta. W największej skrytości przed światem popępiał poezje. Eh, co to za rymy były. Były tam tęsknoty za fioletowym koniem skubiącym fioletową trawę lub za zieloną chmurką na buraczanem niebie, czasem wyrastał wiersz o sześciennej liściach bzu lub jego parabolicznych kształtach. He, nie znalazłbyś tam, śmiercielniku, sensu, choć wsranałe tam były rymy. Sensu nie znajdował w nich i Antek, ale znajdował tam siebie, bo zwykle jeśli ktoś pisze wiersze, to zostaje poetą, a Antek dlatego pisał wiersze, że był poeta. To też raczej oczyma duszy obserwował dziewczynę. Spostrzegła go, była jednak tak nieporadnie zdziwiona, że nie umiała ruszyć z miejsca, by iść dalej. Wtedy stanął, chwycił walizę w rękę i mruknął: „No, chyba już pójdziemy“ — to nie był głos poety, nie miał w sobie nic z tkliwości dziecka ani zapachu róż. Dziwnem się Hance wydawało to spotkanie, ponieważ jednak w głosie nie przebijała nuta zainteresowania się, a waliza dokuczała jej srodze, więc też wstała szybko i ruszyli oboje w stronę wsi.

Było to wszystko, jeżeli nie nowoczesne, to conajmniej... romantyczne, ale Hanka nie myślała że to było romantyczne, nie myślała również, co w tej chwili sądzi o niej nieznajomy bo... nie była córką inteligenta dr. Bochenka z pobliskiej Mieści-

ny. Myślała najpierw o tem, że nie musi dźwigać walizy, potem dopiero myślała, że należałoby być wdzięczną za pomoc. Ale Hanka tyle razy ofiarowywała swą pomoc tym, którzy jej potrzebowali, że była córką natury. Pozwoliła się więc odprowadzić aż do wynajętej poprzednio izdebki. Zamienili ze sobą jeszcze parę słów, z których dowiedzieli się o sobie wzajemnie wszystkich szczegółów zewnętrznego bytu.

Antek myślał potem, że to była rozmowa oczu, a Hanka rozpoczęła nazajutrz w monotonię obrzękłą pracę. A praca nie toczyła się wcale z szybkością jednostajnie zwolnioną. Zaczynało się o 6 rano, kończyło o 8 wieczór. Działo się to w instytucji, nad którą widniał wyłożony literami szyld: — „Spółdzielnia kooperatyw rolniczych — filja Nr. 3^a“. Sprzedaż, odbiór towaru, dekadowy remanent, zamówienia, trzeba się było zdrowo nauganiać, by każdego zadowolić, by temu dowieść, że tylko superfosfat jest najlepszy, temu z uśmiechem wręczyć żądany towar, owemu powiedzieć, że niestety nie mamy, a tamtemu, że napewno będzie jutro.



...i mruknął: „No, chyba już pójdziemy“...

Każdy początek jest trudny. Zdawało się że nieda rady. Nie poradzi. Ale wtedy był jeszcze Antek, (bo potem pojechał), dał jej siłę i wiary w siebie i mówił, że nie wierzy w los, w przeznaczenie, że człowiek jest istotą taką mocną, taką silną, że swymi łapami potrafi sam wykuć sobie los. A taki sobie wykuje, jaki sam będzie chciał. Antek nie wierzył w zły, ani dobry los, — bo jego życie było zaprzeczeniem przeznaczenia. Antek sam sobie przeznaczał. Miał szczęście. Miał szczęście, bo kiedy zauważył, że ma tkliwe serce, że go boli głód innych i, że chciałby, by cały świat był syt, i odzian, i szczęśliwy to wtedy zmienił skórę. Duszę poety i cierpienika zamknął w zakamarkach swej jaźni, a sam zaczął rąbać los. Taki też był i Antek. Mowę miał

twardą i lniasto złociste włosy, a czuł się synem chłopa. Kiedy miał coś do powiedzenia, to mówił twardym, ostrym językiem. Słów nie dobierał delikatnych, filigranowych, a kiedy trza było prawdę mówić komu w oczy, to szedł i rąbał. Może dlatego, że był młody, nie bał się mówić, co czuł i nie zważał na skutki, jeśli myślał, że ma rację.

A rację miał, kiedy Hance tłumaczył, jak to los trza samemu kuć, przeciwnościom się nie dać, a zwyciężyć. A Hanka, Hanczátka o wrażliwej i dobrej duszyczce słuchała. Słuchała i nabierała ochoty do walk z życiem. Antkowe słowa były takie mocne, takie proste, a takie Hance potrzebne, że pokochała te słowa mocno. A kiedy Antek odjechał, żyła niemi. Przez długi, długi czas żyła niemi. I wierzyła, że dzięki tym słowom tylko, trwa tutaj na wyznaczonym przez życie posterunku.

Aleć dni płynęły, przesuwała się tarcza słońca dzień w dzień o 180°, miesiące; nabrzmiałe w zgaszone nocą dni mijały szybko i prędko. A Antek odjechał. Zostawił po sobie wrażenie nieugiętej mocy i prawdy. Wrażenie zostało w Hanczynych myślach długo, bardzo długo. Ale przecież wszystko płynie, wszystko wraca, a Antek nie wracał. Może odrodziła się w nim dusza poety i cierpiętnika, może znowu chciał uszczęśliwiać świat? Może cierpiać, może się uczył przebaczać złu?

A Hanka pracowała. Dzień w dzień, ta sama, jednostajna, jak szemranie wody w górskiej siklawie praca przeplatana obowiązkiem rozdawaniem uśmiechów, każdemu, dosłownie każdemu, kto przyjdzie. Trzeba było do tej pracy nie tylko zdrowia, ale i stalowych nerwów. A słowa Antka powoli przykrywały się pyłem wszędobylskiego zapomnie-

nia, zapas sił, energia i ochota wyczerpywały się szybko, a Antek nie wracał.

Mijało już cztery lata od spotkania, mijało cztery lata ciężkiej, żmudnej pracy i Hanka już od dłuższego czasu postanowiła wracać pod ojcowską strzechę. Przynaglali ją osamotnieni, starzejący się rodzice, przynaglala ją chęć wypoczynku i zmiany, ale było przecież coś, co ją tu na miejscu trzymało. Hanka nie musiała sobie zdać sprawy z tego, co to było, ale ile razy napisała swym starannym maczkiem wypowiedzenie posady, tyle razy wypowiedzenie to szarpały czerwone i białe, ostre języki ognia.

Hanka jeszcze zostawała. Zostawała, a siły poczęła czerpać z ciszy i mroku miłości do Stwórcy. Lubiła się w niedzielę i jasne popołudnie w pustym, prastarym niemal, modrzewiowym, wiejskim kościółku i patrzeć na Krzyż. Na Krzyżu wisiła cudna rzeźba Jezusowego Ciała. Z boku widniała krwawa rana, na głowie cierń. Na trzech ramionach krzyża zadające ból — gwoździe. Urok Chrystusowej twarzy, patrzącej na nią z ciszy, działał na jej najlepsze chęci. Nabierała w tej niepokalanej ciszy sił, ale czy na długo? A Antek nie wracał.

Aż raz, kiedy Hanka swoim codziennym a raczej cowieczornym zwyczajem po pracy klęczała w kapliczce, postawionej tuż za pierwszymi chatami wsi, kiedy Hanka klęczała i wpatrywała się w ryty na krzyżu napis: „Na grzbiecie moim budowali grzesznicy nieprawości swoje“ i kiedy szukała mocy i wytrwania — ktoś stanął za nią. Hanka ocknęła się z zadumy i spojrzala.

— — — Poszli w biel rysującej się w ciemności drogi, by razem wydzierać życiu doświadczenie.

DESZCZ.

Rozperliła się moja tęsknota i deszczem za
oknem pada.
Smutek mój przybrał barwę szarugi jesiennej
ugorem postrzępionej na pobliskich drzewach.
Brzęcząco, szkliście...
W migotliwych rozdźwiękach słyhać pieśń
Odwieczną, tajemniczą i niepotrzebną...
O bycie ludzkim i o szczęściu, które za chmury
się chowa.
Chcę wiedzieć! w deszcz się chcę cała zamienić
dudniący
w każdą chcę wnikać kropelkę
A może...
Może mi śpiew wasz, o krople szare, powie
nieopatrznie
Może w dzwonienu waszem usłyszę odpowiedź
Jakiś cudownie prosty znajdę klucz
do melancholji mojej białej —
Może mi powie — —
Zamienię się w słuchanie cierpliwe
Wyszarpnę z duszy mojej przedzę intuicji
W oczekiwania owinę różową bibułę
Może usłyszę? — — —

D. KUCHARSKA
gim. H. Rzakiewiczowej.

JAN ZAWITY.

PEJZAŻ CZARNOBIAŁY.

Wrony ociężałe
gudami ciał czarnych
kreślą
biel śniegu prześcieradła
spadając — —

Czarne patyki drzew
w puszystą białość mydlin
zatknięte
plamami cieni brudnych
żłobiły brózdę czarne
na białej ziemi — —

Czarna bywa rozpacz
w gorąccze białej zszarzała —
— A we mnie radość jest niebieska
choć tylko: czarnobiała,

MUZYKA.

Cicho i ciemno... Fala zboża, kołysząc się jednostajnie, odmawia wieczorną modlitwę.. Gwiazdy mrugają ze zdziwienia: dlaczego tak cicho?... Szmerząc cicho, kłosa przyznają rację gwiazdom... Jest strasznie cicho...!

Nagle co to!... ktoś ośmielił się znieważać świętą ciszę!.. Niestety tak. Cisza została brutalnie znieważona!..

Zrazu cicho... potem coraz głośniejsze upajając się własnymi dźwiękami: konik polny urządził wieczorny koncert... Dzwoniły „nieopatentowane dźwięki“ długo w nocy, mając za słuchaczy przyrodę martwą...
Muzyka...

Ciepły i pogodny wieczór...

Wieczna lampa świata — słońce skryło się już za parawanem widnokregu... Wszyscy i wszystko kołysze się do snu...

Jedynie koniki — żaby nie myślą o śnie. Przekomarzają się głośno, wystawiwszy głowę nad powierzchnię wody. Udają dobrych mówców: przemawiają... słuchają krytyki... przekonywują... omawiają każde słowo... bronią się przed zarzutami... przedstawiają dowody i kłócą się między sobą...

Długo w nocy słycać niestrudzone: kum... kum kum... pum... pum pum...

Muzyka...

Ogień gaśnie na kominie... Pochylona nad kotłyszka, wpatrzona w drogie dziecko — śpiewa usypiająco: aaa.. aaa kotki dwa... Głośny akompaniament drewnianych biegunów kotylski: tłak — tłek... tłak — tłek... zlewa się ze śpiewem matki...

Muzyka...

Nad nim sklepienie boskiego pałacu... pod nim głąz... a przed nim stado owiec na tle gór i na tle ciemnej ściany smreków...

Do uszu jego dolatuje odgłos dzwonek i szum strumienia... Podnosi kobzę do ust i... wysyła rzeźne tony w bezkresną dal... TONY unoszą się w powietrzu i płyną z prądem... uderzają o zbocza gór, przedzierają się przez gęstwą smreków, przeslizgują się po roztańczonych falach strumienia i... pędzą dopóki im sił starczy.

Usłużne echo powtarza każdy dźwięk kobzy górą i... potęguje czar tonów...

Muzyka...

Karczma...

Z za bufetu usmiecha się obłudnie karczmarz Za stołem gromada chłopów. Przed karczmą rzeźpili skoczne polki wiejski artysta. Pochyliwszy się nad harmonją... rozciąga ją tak, jak tylko może najczęściej i... obserwuje nogi tańczących. A harmonja „rzeźi“ jak w gorączce, wydając nieśmiertelne — U ha ha!... U ha ha!... uha uha! uha ha!...

Muzyka...

Małe dzieci bawią się w piasku na podwórzu przed domem. Naraz uwaga ich zwraca się w inną stronę — porzucają piasek i skupiają się przed orkiestrą, złożoną z wirtuozów podwórzowych. Ciekawe oczy przenoszą się ze skrzypiec na mandolinę... gitarę... flet... potężną trąbę... ogromny bas i wreszcie na... „panią bez instrumentu...?!“

We wszystkich oknach pojawiają się głowy... Zaczęli...

Grają zgodnie wszyscy razem... jedynie niekiedy flet i trąba zapominają o umowie i wtedy podnoszą głos o kilka tonów wyżej... szybko się jednak orientują i jakgdyby zawstydzeni milkną na chwilę, aby potem znów się „zapomnieć“. Mandolina pracuje wspólnie z gitarą i skrzypcami, a bas stale grubym głosem zachęca: graj—my... razem...!

Po jakimś czasie „pani“ poczyną śpiewać równo z zespołem: „Daj buzi mała“...

Czasem ktoś da kilka groszy, a częściej nie da nikt.

Muzyka...

Podobny do nieujarzmionego konia — gramofon miota się w szalonym tempie, pragnąc z siebie ciężar — płytę. Nie strwożona bynajmniej temi ewolucjami — śpiewa zachwycająco najmodniejszą skromną zakąski — usuwa stoły i puszcza się w tany — obijając się o stoły... potrącając się wzajemnie i depcząc sobie po palcach... Płyta zaś śpiewa, aż do utraty rozpędu: „Mała kobietko czy wiesz“... O północy towarzystwo udaje się na spoczynek.

Muzyka...

„...Papo... nastaw na Wiedeń...! ...tam ładnie grają...!“ Papa czyni zadość prośbie i...piękna melodia wypełnia pokój... Zastłuchana rodzina rozsiada się wygodnie na kozetkach i wsłuchuje się w czar muzyki. Marzą... o wszystkim i o... niczem...! są szczęśliwi, że mogą zapomnieć o walce... o byt. Błogosławiony czar melodji...

Muzyka...

Wielka wspaniała sala... tysiące świateł... ogromny tłum ludzi wpatrzony w niego i jego instrument... Gra sonatę Beethovena... czaruje tłum.. skończył. Burza oklasków wstrząsa salą... bravo! bis!...

Muzyka...

W rytm tanga posuwają się pary po wywoskowanej podłodze... zawodzą słodko skrzypce... głucho wali bęben... zaczarowany jazz-band ma głos...!

Muzyka...

STANISŁAW BOCHENEK
W. Łuk.

FRAGMENTY z SZYBOWISKA.

Przystępując do opisania fragmentów z szybowiska, pragnąłbym przedtem zaznajomić czytelników z samą istotą szkolenia.

Szkolenie dzielę na teoretyczne i praktyczne. Teoretyczne szkolenie polega na zaznajomieniu kandydata z aparatami (części składowe), techniką latania, mechaniką lotu, oraz meteorologią. Szkolenie praktyczne, to tylko wprowadzenie tych wszystkich wiadomości w czyn pod kierunkiem instruktora. W samym szkoleniu rozróżniam trzy grupy następujące; 1) Szkolenie do kategorii „A”, 2) do kat. „B” oraz szkolenie, 3) Żaglowe do „C”. Oczywiście jako nagrodę dostaje się po skończeniu dyplom pilota szybowcowego tych wyżej wymienionych kategorii. Na uzupełnienie dodam, że kat. „A” to loty w linii prostej, trwające minimum 30 sek. Kat. „B” — lot z 4-ma wirażami, 2 po 180° i 2 po 90° lądowanie w oznaczonym miejscu, czas 1 minuta. Kat. „C” to loty żaglowe, trwające nieraz godzinę.

A teraz kilka fragmentów pozostałych w mej pamięci z szybowiska Góleszowskiego i z szybowiska w Bezmiechowej.

Góleszów 1934 rok — lipiec. Na starcie 12 kand. na instruktorów. Pierwsze loty szły nam dosyć dobrze, lecz wkrótce się zepsuło, bo upojeni początkowym powodzeniem, spędzaliśmy wolne chwile w kasynie „na dole” przy „zakrapianej”. Oto skutki. Nazajutrz startuje kol. Kral (85 kg.). Właśnie jego nie widzę, lecz słyszę charakterystyczny gruby głos, tak, to on.

Ogon gotów i td. z szumem skrzydeł wylatuje w powietrze.

Spojrzałem na kichę¹⁾ trochę znosi, boczny wiatr (NNO). W tem, co on robi? Niepanuje całym nad maszyną — leci do jaru — nie, ja tego nie chcę widzieć, zamykam oczy i w tym momencie doleciał mnie dziwny trzask, to kol. Kral wylądował w jarze. Kilku kolegów wyciągnęło szybowiec i jego z jaru; O dziwo! on cały i maszyna cała. Miał szczęście, osiadł na krzakach, które z amortyzowały zderzenie, Spojrzałem na niego, trochę blady, a kombinezon nabity kolcami; dziękuję za taką przyjemność.

Ale niedługo przyglądałem się, aparat drugi na starcie Pana „L”. Pan poleci — słyszę głos instruktora — potem; „nie boi się Pan”? Nie — odpowiadam, lecz czułem, że będę cuda wyprawiał. Siadam do maszyny, sprawdzam działanie sterów, wyrównuję lotki i startuję. Start normalny, lecz ten boczny wiatr, widzę, że lecę do jaru i teraz przypomniały mi się kolce w kombinezonie Krala, brrrr reakcja; daję lewą nogę i lewą „lotkę”, aby wyrównać zwis, tu popełniam błąd, błąd fatalny, bezwiednie drążek sterowy przyciągam, co powoduje podciągnięcie maszyny do góry, zamiera śpiew linek, ustaje szum skrzydeł i przerażająca cisza otacza mnie, aparat „przepada” wdół, gwałtownym ruchem ręki oddaję drążek wprzód, ale to mało pomaga. Za mała wysokość. W ostatniej chwili głębokim wirażem ratuję sytuację i tuż nad ziemią wyrównuję aparat. Tak dziwnie słońce patrzy na

mnie, ręka mi trochę drży, muszę być blady. Wychodzę na start, a instruktor ogłasza pierwszą wykonaną „amerykan²⁾” pierwszą akrobacją. Więcej nic nie powiedział, lecz w książce lotów napisał uwagę — „zawieszony na dwa dni, aby się wyspał”.

Powoli przyzwyczailiśmy się do tego podwójnego życia, teraz kiedy to wszystko przeszedłem, przyznam się, że pod „gazem” latało się znacznie lepiej, a przede wszystkim pewnie.

Stop! małe zastrzeżenie, tu muszę nadmienić, że nie każdy może dobrze latać, trzeba się urodzić z „czuciem”. I tak np. wśród nas znalazł się kandydat wysłany przez K. S. na instruktora. Zaczął latać na „C. W. 7.³⁾” potem na „Wronie⁴⁾” i obie powędrowały do warsztatów. Każdy jego lot kończył się „kraksą⁵⁾”. Oto jego ostatni lot. Start normalny, powiedziałbym, bardzo dobry, nabrał wysokości, potem maszyna wypuchła, dotąd wszystko dobrze, wtem szybowiec traci „stateczność⁶⁾”, widać jego niezdecydowane wychylenia, w lewą, to prawą stronę, aż wreszcie wali się na lewe skrzydło i zwitką korkociągu kończy swój żywot na ziemi.

Zapanowała cisza, tak dziwna cisza, aż w uszach dzwoni. Nikt nie śmie słowa powiedzieć. A on wyszedł z pod szczątków. Spojrzał na swe dzieło i z dziką furją zaczął kopać szczątki rozbitego szybowca. Było to znęcanie się nad trupem. Co w tem widział za przyjemność, nikt tego z nas nie wie. Loty zostały przerwane. Zbyt silne wrażenia przeżyliśmy dziś. Kto wie, co jutro ze mną się stanie, czy nie skończę w ten sam sposób co on?

W Kasynie „na dole” znaleźliśmy zapomnienie, a kandydat odjechał pospieszonym do domu.

Bezmiechowa 17-VI 1935 r. To data naszych pierwszych wlotów ze skorupy ziemskiej w przezroczystą taflę powietrzną na żaglowanie. Na starcie 12 „Czajek⁷⁾”, kilka „Wron” dość sympatycznych i pięknych aparatów błyszczących srebrnym blaskiem w promieniach słońca. Co chwilę słychać przez megafon uwagi lub nazwisko startującego. Startują po kolei reprezentanci całego naszego kraju, a więc; Ślązacy, Krakowianie, Poznaniacy, Warszawiaci. Jednym słowem wszyscy. Startuję również i ja, reprezentując bardziej Śląsk niż Zagłębie, nie z mojej winy, bardziej — widocznie — wyglądałem na Ślązaka. Na starcie wre zacięta walka rywalizujących ze sobą ambicij dzielnicowych, lecz na każdym kroku widać współzycie koleżeńskie i subordynację.

Na tej samotnej górze wstąpił inny duch w ciała nasze, poświęcenie połączone z całkowitem oddaniem się pracy dla polskich skrzydeł, — było hasłem naszym. Nie zważano na okaleczenia lub inne wypadki. Każdy rwał się ciałem i duszą do latania. Między innymi i ja byłem takim zapalcem, lecz wkrótce ostudził się mój zapał. Przyczyną był lot w tak strasznych warunkach atmosferycznych, że ze zgrozą wspominam o nim — Start na północnym zboczu (różnica poziomów 260 mtr.) Pogoda niepewna, ciągle chmurki, przechodząc

tuż nad naszymi głowami, zsyłały nam zimne krople wody. Wystartowałem. Z przodu widziałem z szaloną szybkością zbliżającą się chmurę, której ołowiany kolor przerażał mnie. Co robić? Jedyne ratunek uciekać do matki ziemi, ale było już za późno. Silne uderzenie to w lewe, to w prawe skrzydło, dawały mi znać, że spotkałem się z żywiołem, walka była zacięta, reakcje moje następowały tak szybko, jak szybki był mój przeciwnik, ale trwało to krótko, bo silny podmuch z przodu porывa mię do góry, starając się swą potężną ręką przerzucić przez zbocze i w wirach znieść na las. Wydało mi się, że pojąłem po raz pierwszy, co to jest wiatr, to potężne parcie powietrza, które macha w czoło tak, że aż pulsuje w mózgu. Wśród szumu i zamętu nieuchwytny żywioł wydał mi się dla ludzkiej woli czemś nieodpartym; zacząłem tracić resztki panowania nad sobą.

Czy naprawdę mechanizm wynaleziony przez człowieka, mógł sprostać furji nieokielzanego żywiołu? Na chwilę zrezygnowałem, było mi wszystko jedno, co stanie się ze mną. — W bezwładnej ręce spoczywał drążek sterowy. — Brakowało mi sił. Nagle na twarzy odczułem dwie krople zimnej wody. Te krople uratowały mnie — silnym ruchem ręki, wczuwając się w całą maszynę, zmuszam ją do posłuchu i centymetr po centymetrze schodzę na lotnisko. Tu naprawdę brakło mi sił. W kabinie zmęczone moje bezwładne ciało, podtrzymywał kol. H., który przed burzą zdążył wyłączyć.

Był to mój pierwszy chrzest bojowy. Byłem dumny, bo pokonałem żywioł, uzyskując kategorię „C”.

Jeszcze wspomnę pamiętny dzień 27-VI 1935 rok. Start na terenie wysokie „C”, wiatr bardzo słaby, 2 do 3 m. na sekundę i w dodatku boczne (S. N.). Startuję na „Czajce 160”. „Amerykanem” wychodzę na 30 m. ponad miejsce startu i zaczynam badać nośność powietrza, kieruję się nad hangar, tam zyskuję 20 mtr., a w drodze powrotnej tracę całkowitą nabraną wysokość. Wracam znowu nad hangar, znów zarabiam, metry i tak kilkakrotnie. Spojrzałem na zegarek, mam już 10 minut. To przecież pierwszy mój lot żaglowy. byłem zadowolony, chciałem jeszcze być dłużej i wyżej i pewny siebie daję prawą nogę i kieruję czajkę na zbocze. Chcę wyjść nad linię lasu, gdzie napewno

będzie nosić, ale jednak myślę się. Nie oceniam dobrze wysokości, zabrakło metrów, aby być wyżej niż wierzchołki drzew. Reakcja; lewa noga cała, lewa lotka nic nie pomagają, co robić? — za chwilę zderzę się z lasem, myśli moje biegną z błyskawiczną szybkością: pracuję, — chcę się ratować... ale to są sekundy. Czarna ściana lasu stoi tuż przedemną. Wtedy zrezygnowany zwiększam szybkość i tuż przed samymi drzewami wyskakuję w górę, to mi nic nie pomaga, mimo, że aparat położył się w wiraż przy zwiększonej szybkości. Słyszę, jak lewe skrzydło opiera się na wierzchołkach drzew, wytwarzając tarcie a tem samym punkt obrotu szybowca. Powstaje siła odśrodkowa, która szybowiec okręca naokoło drzewa, a ja cudem wychodzę cało. Widziałem na chwilę tylko konar, który groził mi ścięciem głowy, ale wcześniej skryłem się w kabinie, unikając zderzenia. No — napewno się domyślicie, jaką miałem minę, jak się czułem. Od chwili tej zostałem założycielem „Rodziny Słowików”, wszystkich tych, którzy lądowali na lesie.

Oto sport, który hartuje, który nerwom nadaje największą wytrzymałość na silne wrażenia, rozwija bystrość orientacji, przytomność umysłu, zdolność oceny sytuacji w najwyższym stopniu. Wszak ważne są tutaj już nie tylko sekundy, ale i ułamki sekund, oswojenie się z każdym drgnięciem, z każdym podmuchaem wiatru.

Żaden sport „przyziemny” nie może dać tego w takim stopniu — choć niewątpliwie wrażenia podobne przeżywa narciarz, gdy w potężnym zeskoku odrywa się od ziemi, leci jak ptak nad śniegiem. Narciarz jednak po kilku sekundach opada, a skrzydlaty człowiek na szybowcu pozostaje ptakiem. Jednym słowem idealne przejście „człowieka ziemi” do — „człowieka powietrza”.

W. L.
P. S. G. H.

- 1) Kicha — wiatrowskaz.
- 2) Amerykan — szybowiec nachylony na jedną stronę i podciągnięty w górę.
- 3) C. W. 7 i Wrona — szybowce szkolne.
- 5) Kraksa — wypadek.
- 6) Stateczność — równowaga.
- 7) Czajka — aparat treningowy.

Marsyljanka i francuskie „er”.

Wprawdzie już wróble wszędobylskie wyćwierkały co miały wyćwierkać na temat „Wieczoru francuskiego”, który odbył się dn. 29 lutego o godz. 6-wiecz. w sali gimn. im. H. Rzadkiewiczowej, ale obawiam się, że może niejedno przeoczyły tembardziej, że było już ciemno i, napewno były porządnie śpiące.

A resztą, wracając słyszałam wyraźnie, jak jeden z nich sennie ćwierkał do swej towarzyszki: „Ćwier, co to było? Dalibóg nie rozumiem. Zaś zacna małżonka pocziwego Maćka godnie od-

ćwierknęła, sadowiac się zapewne wygodniej w gniazdeczku.

„Ćwir-ćwir, pewnie, przecie to było po francusku. Na tem rozmowa się urwała. Małżeństwo napewno usnęło. Tak więc poczuwam się do obowiązku szczególnego opisanie owego wieczoru z dwóch względów: Po pierwsze, że był on (wieczór a nie wgląd) naprawdę udany, po drugie, że było to wieczór francuski, to znaczy całkowicie wykonany w języku synów nadsekwańskiej krainy. Goście, zapewnieni w obficie rozestanych zaprosze-

niach, że będą „mile widziani“, tym razem, wbrew panującej tradycji, uwierzyli i stawili się b. licznie. Szczególnie koledzy z gimn. im. Staszica i Prusa przybyli prawie „in gremio“, wykazując gorące zainteresowanie wieczorem lub też spowodu innych, „subtelniejszych“ przyczyn.

Wieczór rozpoczął się przemówieniem, z którego dowiedzieliśmy się o celach kółka francuskiego, a mianowicie o dążeniu do zawiązania ścisłych węzłów z młodzieżą francuską zapomocą żywej korespondencji i o pogłębieniu znajomości języka francuskiego.

Marsyljanka, rewolucyjna pieśń francuska wykonana przez uczennice trochę za... pokojowo, przekonała o umiejętności dostosowania się wykonawczyń do charakteru wieczoru.

Odegrana została następnie komedia p. t. „Lasoivée improvisée“.

Z całym uznaniem podkreślić należy doskonałe opanowanie ról i poprawne ich wykonanie.

Ktoś tam gdzieś podobno mówił, że akcent nie był „całkiem“ ale wzięwszy pod uwagę okoliczności „łagodzące“ a mianowicie: że ten „ktoś“ był francuzem i nie zdawał sobie sprawy z trudności

przyswojenia sobie tego języka i to, że wieczór ten był pierwszym tego rodzaju wieczorem i to, że sama gra „artystek“ ich ubiory i gesty tuszowały zupełnie brak owego „akcentu“ — można uważać ten minus za zgubiony w powodzi plusów.

Gwoździem wieczoru była też wykonana również komedia Moliera p. t. „Les Piécieuses zidieules“.

Malownicze kostjумы markizów i dam, śpiczasty nos Gorgibus'a, wspaniałe wstęgi Masearilla i zalotne uśmiechy płochych Madelon i Cotkos — sprawiały, że nawet ci goście, którzy nie rozumieli zupełnie po francusku — z przyjemnością przyglądali się komicznym sytuacjom, które stawały się dla nich zrozumiałe dzięki wyrazistej grze odtwórczyń.

Na zakończenie ujrzelśmy żywy obraz, przedstawiający Francję wraz z jej kolonjami. Barwne kostjумы i oryginalne ugrupowanie osób wywołały pożądany efekt.

Dzięki inicjatorce wieczoru p. Toftkiewiczowej, dzięki jej pracy, wieczór francuski wypadł miło i ładnie.

D. KUCHARSKA
ucz. VII kl. gim. im. H. Rzadkiewiczowej.

CZARNY CHLEB.

...Górnicy ci jo górnicy
stare górniczyisko
nie pije jo wódki
tylko gorzałczyisko...

Rozbrzmiewała wesoło stara górnicza piosenka, śpiewana wolno, dobitnie — w takt suwanej z przeraźliwym zgrzytem łopaty. Schylało się i podnosiło olbrzymie cielsko herkulesowej budowy, dymiło i sapało — niby maszyna parowa, która o gromem swej siły i zdecydowanym rytmem ruchu — zdążyła się mówić: „Kto tak potrafi pracować jak ja?“ A olbrzymie cielsko, jedynie kształtami przypominające postać ludzką, przeżyło i zginęło swe tłoiki, tworząc na nich węzły, poorane niezliczoną siecią nabrzmiałych żył, które drgając — coraz prędkiej i prędkiej rozluźniały się i wydłużały przechodząc stopniowo w stan bezwładności.

I znów ta sama historia — i ciągle... — „hop, siup! — hop, siup!“ Wyrzucone z łopaty węgle, zatonczyszy w ciężkim jak otów powietrzu chodnika czarny łuk, opadały na podstawiony wózek z pełnym przerażenia szmerem, a pozostały w powietrzu kurz, jak artysta, podkreślał swą czarną farbą — okrągłość drewnianego budynku i ostre, jak zręb ściany węglowej, rysy twarzy, jedynej oznaki człowieczeństwa — tej olbrzymiej maszyny.

Nareszcie po pracy! Skończona dniówka, a z nią następuje przeistoczenie tej bezmyślnej, nieczułej na to, co ludzkie — maszyny, na istotę, która teraz widzi, kocha i myśli... Dziś, „pocałowanie torby“ — wypłata. Ha.. ha... — jakie to śmieszne. W ponurej, pełnej tajemniczego majestatu, sali, płynął objając się o ściany cichy poszept głosów i gi-

nał miękko w kurzem wysłanych framugach strze-listego ołtarza św. Barbary, obok którego prze-otwarte okienko, jak sztylet, wbijało się w niezamkniętą ciszę wyczytane nazwisko.

Kregiel! — „jest — ! — Wyplacono — — —
„Szczęść Boże“ — — —

Wlokła się, przeistoczona przed godziną w człowieka, maszyna. Tępy wyraz oczu, wykrzywione w ironji usta, spuszczone łeb i zaciśnięte, kurczowo trzymające banknot piędziesięcio—złotowy, ręce — świadczyły, iż ten człowiek, właśnie dlatego, że teraz myśli i oddaje się uczuciom miłości ojca rodziny — cierpi niezmiernie i zdaje się mieć żal, iż tak szybko minęła dniówka...

Sklep. — Może nie płacić?... hm — trzeba inaczej nie dadzą...

Wyszedł. — Oczy o tępym dotąd wyrazie, skrzyły się nienawiścią, a ściągnięte usta i głęboko zarysowane zmarszczki w ich kącikach, nadawały twarzy wyraz dzikiej bestji, która za chwilę się rzuci na pierwszą napotkaną ofiarę — mszcząc się sama nie wiedząc za co, i czy właściwego znalazła krzywdziciela.....

Szybkie, jak błyskawica, spojrzenie ślizgało się po bezkresie horyzontu i nagle jak piorun strze-liło w biegnące wpoprzek drogi szyny...

Sz... sz... szy... ny!? — a dom, żona, dzieci i to pełne ciepła ognisko domowe....?

Topniało twarde serce olbrzymia, a stalowe spojrzenie puściło z objęcia — siostry — szyny i z łagodnym już wyrazem przeniosło się na owinięty w gazetę bochenek „razowca“. I z pełnych rozrzewnienia, głębokich czarnych oczu, spłynęły dwie duże, jak perły szlachetnej miłości i oddania — łzy; a padając, szmerem swym zdąży się mówić: „Dlaczego, tylko czarny chleb?“...

ZBIGNIEW KOZŁOWSKI
P. S. G. — H.

Odpowiedzi Redakcji.

Kol. W. Ż. — gim. Łuk. Sprawozdanie nieaktualne, a szkoda, bo napisane jest ciekawie i miło.

Kol. „Ir-He“ — gim. Kopernika. Wybaczy Kol., ale pierwszy raz zdarzyło mi się czytać „Wierszyk dyskusyjny“. Domyślałem się, że chodziło Kol. głównie o jakąś ideę. Niestety domyślałem się, bo np. ze zwrotki:

„Nie zrealizowawszy co pragniesz

Rozbroją cię!

Oni ci będą gwiazdą i sterem

A ty się zrobisz okrągłym zerem

I zawiedziony w srogiej rozpacz

Padniesz martwy, — raniąc, krwawiąc piersi“.

nic konkretnego wywnioskować nie mogłem. Sądząc po wyższym efekcie, należałoby się „przerzucić“ na prozę. Może będzie łatwiej, a przynajmniej nie tak śmiesznie.

Kol. M. G. — P. S. G.-H. „Refleksje“ oczywiście nieaktualne, niemniej jednak nie zapominamy o tym dziale.

Kol. Z. D. — Szk. Handl. Kr. Jadwigi. Obrazek w całości przemyślany dobrze. Zawikłała się jednak Koleżanka w labirynty stylowe i dlatego „wyszło to wszystko“ blade i bez wyrazu. Nie należy się ponadto posługiwać nowoczesnym wysławianiem się, gdy się tak słabo ma opanowaną formę, bo wówczas niestety czytamy o dniach, które były „przeraźliwie skończone“.

Kol. T. B. — W wierszach nadesłanych nie została rozwiązana strona formalna, o którą Koleżance jedynie chodziło. Wiersz nie może się składać z szeregu luźno związanych z sobą metafor, lecz powinien być jedną, wielką, rozbudowaną metaforą składającą się z kilku mniejszych, uмотywowanych wewnętrznym przeżyciem, metafor. Mam na myśli poezję awangardową, na której Koleżanka się wzorowała. Uderza również niezręczne używanie przydawki rzeczownikowej i niedbały dobór wyrazów. Koleżance dla odmiany, poradzilibyśmy mniej czytania poetyckich utworów, wpływa to zgubnie na oryginalność:

„Bunt śniegu

który wkrótce ulega przebity jednym ciosem cienia“

my to znamy: Eluard — prawda?

Kol. N. P. Książka Gide'a nie nadaje się do recenzowania w naszym dziale „Co czytać“. Zresztą staramy się

polecać książki autorów polskich, tak niesłusznie lekceważonych. Czekamy więc na dalsze, ciekawe recenzje.

Kol. D. K. — gim. Rządkiwiczowej. Jeden z wierszy drukujemy, drugi jednak nie na poziomie. Jako „początkująca“, powinna Koleżanka unikać prymitywizmu. Forma taka dostępna jest jedynie poetom o wysokiej kulturze, która pozwala im kroczyć po wąskiej ścieżce prymitywizmu. Bo zgodzi się chyba Koleżanka, że od prymitywu do grafo-manstwa krok tylko. I właśnie ów krok Koleżanka zrobiła. Za słowa uznania dziękujemy. Współpracę chętnie przyjmujemy.

Kol. M. G.—Z. K. — P. S. G.-H. Wywiad ciekawy, lecz napisany tak..., że sił nie starczyło na poprawę. Dziwi nas bardzo niedbałość, z jaką Kol. Kol. potraktowali tę pracę.

Kol. B. — gim. Kop. Kolega pisze:

„Przyjdź! Ja czekam cię z wieczora,

Kiedy cicha zwierzeń pora,

Księżyc biały lśni na niebie,

Zrobimy matematykę,

Polski, historję, fizykę...“.

Radzimy zabrać się czempredzej do matematyki i fizyki! Może osiągnie Kol. w tej dziedzinie nieco lepsze rezultaty. Wiersz drugi strasznie przypomina popularną piosenkę: „Śpij kolego w ciemnym grobie...“ Piosenka żołnierska.

Śpij Kolego!

Kol. A. T. — gim. Staszica. Żeby pisać gwarą, trzeba ją przedewszystkiem znać, żeby pisać o „bieda szybach“, trzeba umieć się przedewszystkiem wczuć i zrozumieć tragizm sytuacji, a nie, jak to czyni Kolega, uwypuklać „literackość“ zagadnienia.

Kol. C. D. P. S. G. H. i **Kol. H. B.** Gim. Kop. — artykuły zamieścimy w następnym numerze.

WIM.

UWAGA: Prace przysyłane bez ujawnienia nazwiska i szkoły nie będą umieszczone.

Konkurs Prac o Marszałku

patrz str. 2 okładki.

Nacz. Redaktor : W. MAJCHROWSKI.

Nacz. Adm.: ZB. BUDZYŃSKI.

Kurator pisma: Dr. J. MAKOWSKA

NACZELNY KOMITET REDAKCYJNY: Sosnowiec: Przew. J. Poniewierski — Gim. Prusa; H. Piaskowska — Gimn. E. Plater. M. Wolska — Gimn. Rządkiwiczowej; D. Ossowska Szk. Handl. Kr. Jadwigi; A. Koplówczówna K. G. Ż.: A. Telatycki — Gim. Staszica. W. Stacherski — Gim. Wysp.; A. Krzyżak — P. S. N. Będzin: Przew. Kurzówna — Gimn. W. Repl. Drozdówna — Szkoła Handlowa Żeńska p. Bojarskiej; Szwajcer — gim. Fürstenbergów; Sosnowski — Gim. Kopernika; Dąbrowa: Przew. Grodziński — P. S. G.H.; St. Kosmańska — Gim. E. Zawidzkiej; Durajówna — Szk. Handl. Z. Wieśniak — Gimn. im. Łukasieńskiego; Cz. Rogus — P. S. N. Z. Czapla — Szkoła Handlowa. G. Goldówna — Kursy Przem. Art.

Adres Redakcji: Gimnazjum Męskie im. Stanisława Staszica, Sosnowiec ul. Żeromskiego 3. tel. 1.26.

Adres Administracji: Sosnowiec, ul. Kołłątaja 10. tel. 60

Zakłady Drukarskie „PRACA“, Sosnowiec, ul. Kołłątaja 10. Tel. 60.

Rozstrzygnięcie

KONKURSU

Propagandy Czytelnictwa

1. W. Sieroszewski: „Zamorski Djabeł“ str. 225.
Nakład: Instytut Wydawniczy.
2. M. Rodziewiczówna: „Lato Leśnych Ludzi“ str. 3-4.
Nakład: Wydawnictwo Polskie w Poznaniu.
3. F. Goetel: „Ludzkość“ str. 41.
Nakład: Gebethner i Wolf.
4. Coorwod: „Włóczęgi Północy“ str. 231.
Nakład: Księgarnia Św. Wojciecha w Poznaniu.
5. P. Choynowski: „Wigilja Wojewody“ str. 15,
Nakład: Gebethner i Wolf.
6. St. Żeromski: „Doktor Piotr“ str. 41.
Nakład: Księgarnia Martkowicza.
7. Górski: „Druga Brama“ str. 58.
Nakład: Towarzystwo Wydawnicze.
8. Kussak-Szczucka „Złota Wolność“ str. 1. tom II.
Nakład: Wyd. Krakowskiej Spółki Wydawniczej.

- I. **nagrodę:** Książka i komplet „Młodzi Idą“...
przyznano kol. **Janowi Zieleńcowi** z gim. St. Staszica kl. II.
- II. **nagrodę:** Komplet „Młodzi Idą“...
przyznano kol. **Adamowi Telatyckiemu.**
- III. **nagrodę:** Komplet „Młodzi Idą“...
przyznano kol. **Andrzejowi Falkowskiemu.**
Kolejność nagród przyznawano przez losowanie.

Bierz udział w naszych konkursach!

W dniu 25 kwietnia b. r. odbędzie się o godz. 17-ej ponumerowe
Zebrań Komitetu Redakcyjnego
w Sosnowcu, w gim. Staszica ul. Żeromskiego.

Redakcja prosi o przyniesienie artykułów do następnego numeru,
Administracja — o całkowite uregulowanie należności za numer bieżący.

K. K. O.

K. K. O.

Składajcie Oszczędności

== w ==

Komunalnej Kasie Oszczędności

pow. Będzińskiego

w BĘDZINIE, ul. Sączewska 12

oraz w jej Oddziałach:

w Czeladzi Rynek 14 i Dąbrowie Górn. 3 Maja 18

Za zwrot wkładów i wypłatę odsetek gwarantuje całym majątkiem i wszystkimi dochodami (wpływami z podatków i opłat) Powiatowy Związek Samorządowy
_____ w Będzinie. _____

Wkłady na książeczki oszczędnościowe K. K. O. posiadają bezpieczeństwo prawne (pupilarne). Tajemnica
_____ wkładów ustawowo zastrzeżona. _____

Wkłady do sumy zł. 2.500 wolne są
_____ od egzekucji. _____

K. K. O.

K. K. O.